

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

27

W drugim antrakcie Simonet złożył wizytę w łoży hrabiny Pepy d'Ortega. Widząc go tam, Paulin Broquet pomyślał:

— W tej jest zakochany — hrabina Wassowia zajmuje drugie miejsce... Ale, o co go prosiła? Co jej obiecał? Dlaczego Pepa d'Ortega udaje miłość do niego? W jakim celu to czyni?

W to, żeby piękna hrabina mogła naprawdę pokochać Simoneta — Paulin Broquet nie wierzył ani przez chwilę. Podejrzewał w tem jedynie jakąś piekielną intrygę. Zajęty temi myślami Paulin Broquet wyszedł na korytarz, prowadzący do łoż i zajął miejsce w zagłębieniu muru, pragnąc zobaczyć jak Simonet będzie wychodził z łoży hrabiny d'Ortega. Nowy akt rozpoczął się, korytarze były puste, od czasu do czasu tylko jakiś spóźniony widz pospieszał, by zająć swe miejsce. Wreszcie ukazał się Simonet, radosny, rozpromieniony. Nagle zastąpiła mu drogę młoda blondynka we wspaniałej toalecie, z olbrzymim wachlarzem ze strusich piór w ręku. Simonet zatrzymał się, zamienili ze sobą parę szybkich słów, młody człowiek złożył pocałunek na drobnej rączce i odszedł. Kobieta znikła w jednej z łoż. Paulin Broquet nie mógł nic dosłyszeć. Poczut jedynie zapach znanych już dobrze silnych perfum.

Ten akt był ostatnim śpiewanym, potem nastąpił balet, w którym tańczyły siostry Gentes. Na pauzie, poprzedzającej balet, trzej przyjaciele udali się za kulisy. Paulin Broquet odprowadził ich aż do drzwi, prowadzących do garderób artystów i powrócił do sali. Uprzedził swych ludzi o obecności hrabiny Wassowia i polecił ją śledzić. Ale hrabina znikła i niepodobna było powiedzieć, kiedy i jak wyszła. Paulin Broquet był bardzo niezadowolony. Przyszedł na operę jedynie dla przyjemności, tymczasem obecność wrogów na sali pobudziła go do czuwania i stopniowo, nieznacznie, wbrew woli przeszedł od roli widza do spełnienia swych obowiązków detektywa. Postanowił do końca wieczora czuwać i patrzeć. Trzej przyjaciele powrócili do sali. Montgomery, jak zawsze spokojny, rozglądał się obojętnie, La Rochardie promieniał: spał naprawdę dotychczas, ale nie chrapał, teraz zaś przed baletem pewien był, że nie zaśnie. Simonet nie spuszczał niemal oczu z hrabiny d'Ortega, nie widząc groźnych spojrzeń, jakie rzucał nań baron la Ronconière.

Paulin Broquet widział to wszystko, zobaczył jeszcze coś, co nappełniło go niepokojem. Oto Amerykanin, siedzący za Simonetem, zwrócił w pewnej chwili twarz w stronę detektywa, który dojrzał zielony blask oczu.

— On! on tutaj — pomyślał Paulin Broquet. — Zigomar o parę kroków odemnie! A tam w łoży siedzi spokojnie don Izigo Martolo.

Ale w tej chwili orkiestra zaczęła grać, światło na sali zgasło i kurtyna się podniosła. Rozległy się oklaski, w promieniach światła, rzucanego na scenę przez reflektory ukazały się siostry Gentes. Musiały zauważyć w pierwszych rzędach krzeseł swych trzech przyjaciół, gdyż tańcząc, rzucały w ich stronę spojrzenia i uśmiechy. Nagle jedna z nich, znajdując się na przodzie sceny, tuż obok rampy zatrzymała się, wydała przeraźliwy okrzyk i padła zemdlna.

Tancerki, maszyniści, figuranci pospiechali jej z pomocą. Spuszczono kurtynę i na sali zabłysło światło. Ale w tej chwili rozległy się dwa okrzyki zgromy.

La Rochardie i Montgomery krzykali.

— Simonet zamordowany!

Rzeczywiście młody człowiek leżał w fotelu z odzartą w tył głową. Plastron koszuli frakowej był zalany krwią, a w piersi tkwił sztylet.

Na sali zapanowało przerażenie, ogólna panika objęła wszystkich. Ale w tej chwili rozległ się potężny, dominujący nad hałasem głos:

— Zamknąć drzwi! Nie wypuszczać nikogo z gmachu!

Poczem zabrzmiał odgłos świstka o dziwnej modulacji. To Paulin Broquet dawał znać swym ludziom, co mają czynić. Sam zaś pospieszył, rozpychając tłum, w stronę Simoneta. Gdy przybył, Amerykanin znikł. Detektyw rzekł do przyjaciół rannego:

— Pomóżcie mi, panowie. Utorujcie drogę!

Wziął na ręce Simoneta i wyniósł go z sali. Umieścił go w foyer, gdzie pospiechali zaraz leka-

rze teatralni. Paulin Broquet złożył rannego na kanapie i rozdarł koszulę, chcąc zobaczyć rodzaj rany. Gdy to czynił, poczuł zapach znanych perfum hrabiny Wassowia i dojrzał wystającą z kieszeni fraka kopertę urzędowego formatu, grubo wypchaną papierami. Detektyw pochwylił ją i szybko schował do własnej kieszeni tak, że nikt tego nie zauważył.

Oldał Simoneta pod opiekę lekarzy i rzekł do La Rochardie i Montgomery.

— Rana jest ciężka, bardzo ciężka. Ale nie myślę, żeby była śmiertelna. Zostanie tu panowie i nie spuszczać rannego z oka ani przez sekundę.

Sam zaś, cały pokryty krwią — oddalił się. Wsunął się do pierwszej napotkanej łoży i otworzył pachnącą kopertę. Wyjął z niej papiery i poznał je od razu. Były to dokumenty, przywiezione z Londynu przez specjalnego kuryera, te same, o których dano znać detektywowi z Berlina, że tam nadeszły ich kopie. Chowając je do kieszeni — Paulin Broquet rzekł do siebie, mając na myśli Simoneta, który może umierał w tej chwili.

— Nędznik! albo nieszczęśliwy!

ROZDZIAŁ XV.

Gdy minister spraw zagranicznych ujrzał na drugi dzień rano wchodzącego do jego gabinetu detektywa, podniósł szybko głowę i wyciągając dłoń — rzekł:

— Ach! drogi panie Broquet! Jak to dobrze, że pan przyszedł. Czy przynosi pan jakie dobre nowiny? Czy może mi pan wytłumaczyć ten straszliwy wypadek?

Minister był głęboko wzruszony. Kochał bardzo swego pomocnika. Spędził przy łożu chorego znaczną część nocy i powrócił do siebie dopiero wówczas, gdy lekarze zapewnili go, że niebezpieczeństwa niema.

— Co pan myśli o tym zamachu, panie Broquet? Jakie mogą być motywy, przyczyny? Łamię sobie głowę napróżno... Jedną może być tylko przyczyna: miłość, zazdrość, rywalizacja. Pan wie, że Simonet był zakochany w hrabinie d'Ortega?

— Wiem o tem, panie ministrze.

— Zresztą o tem wie cały Paryż — baron de la Ronconière, który chce zdobyć jej serce — opowiada na wszystkie strony o miłości Simoneta.

— I o tem wiem, panie ministrze — rzekł Paulin Broquet poważnie.

— Istnieje przypuszczenie, że markiz don Izigo Martolo, broniąc honoru swej siostry, chwycił się tego środka. Ale nie wierzę w to, markiz przez cały czas nie ruszył się z łoży i może nawet nie wiedział kogo raniono.

— Nestety — rzekł detektyw — nie udało mi się złapać mordercy. Rozkazu mego nie zrozumiano, czy też nie usłuchano od razu, i pozamykano drzwi sali dopiero wówczas, gdy już przynajmniej połowa publiczności wyszła. Miałem ze sobą tylko paru swoich ludzi, nie byłem więc w stanie zapobiedz temu.

— Naturalnie. pan nic nie mógł zrobić w tych warunkach. Jednakże, jakie jest pana zdanie o markizie.

Paulin Broquet milczał.

— Pan się nie zgadza ze mną, że ani on, ani jego siostra nie brali udziału w zamachu.

— Panie ministrze, zasadą moją, od której nigdy nie odstępuję, jest nigdy nie wypowiadać o nikim zdania, nie mając ścisłych danych. W tej sprawie nic nie wiem i nic powiedzieć nie mogę.

— Ależ, drogi panie, to jest prawie oskarżenie!

— Przepraszam pana, jestem detektywem i moim obowiązkiem jest nie oskarżenie, lecz odszukiwanie winnych.

— Jednakże — rzekł jeszcze minister — dziś rano markiz w imieniu siostry i swoim zapytywał przez telefon o stan zdrowia Simoneta.

Paulin Broquet nic na to nie odpowiedział.

Minister, widząc, że w tej sprawie nic się nie dowie — zapytał po chwili:

— Czy ma mi pan co nowego do powiedzenia.

Paulin Broquet powstał i rzekł poważnie.

— Panie ministrze, mam do spełnienia obowiązek nadzwyczaj przykry i bolesny. To, co powiem, zmartwi pana bardzo, muszę jednak spełnić swój obowiązek detektywa i mam nadzieję, że pan, jako członek rządu zrozumie to łatwo. W ostatnich czasach okazał mi pan tyle sympatii i zaufania, że tembardziej winienem swój obowiązek spełnić.

Minister podniósł się także, bardzo poważny, uderzony uroczystym tonem detektywa, i wyciągnął doń dłoń:

— Drogi panie Broquet, przestrasza mnie pan,

Jednakże gotów jestem wysłuchać, bez względu na to, iż to, co ma mi pan zakomunikować, będzie trudne do zniesienia. Proszę, niech pan usiądzie i mów.

Minister drżał cały. Wyjął chustkę i otarł nią czoło, zroszone potem. Paulin Broquet milczał chwilę, stał wciąż przed biurkiem. Wreszcie rzekł:

— Jeśli nie pochwyliłem mordercy, panie ministrze, zawdzięczać to muszę swemu losowi, który stale zdaje się prześladować mnie w walce z tym bandytą. Ale o to mniejsza, straci na tem tylko moja reputacja detektywa. Chodzi teraz o rzecz ważniejszą. I dotyczy to pana, panie ministrze, jako zwierzchnika pana Simoneta, któremu pan ufał w zupełności. Zaraz po dokonaniu zbrodni wyniosłem rannego z sali i umieściłem go w foyer.

— Mówiono mi o tem.

— Chciałem przekonać się, czy rana jest groźna i rozpiąłem ustranie. Wówczas zobaczyłem wystającą z kieszeni fraka wielką kopertę. W chwilę później, gdy ranny był już pod opieką lekarzy, zbadałem zawartość tej koperty i znalazłem w niej te same dokumenty, które przed paru dniami przywiózł z Londynu specjalny kuryer ministerium. Dokumenty te zostały skradzione, wczoraj rano otrzymałem fotografie tych dokumentów, które z kolei moi ludzie wykradli zagranicą, gdzie już je zdążono przesłać. Nie doszły one jednak tam, gdzie miały dojść, gdyż moi ludzie przejęli je po drodze.

Paulin Broquet wyjął z kieszeni surduta dwie koperty i zawartość ich rozłożył na biurku.

— Oto są fotografie dokumentów z notatkami szpiegów niemieckich, które są dowodem dokonanej operacji. Tutaj zaś są oryginały. Znajdowały się one pod opieką p. Simoneta i on za nie odpowiadał. Znalazłem je w kieszeni rannego.

Minister patrzył na rozłożone na biurku papiery. Nie był w stanie przemówić ani słowa. Zdawał się być zupełnie przygnębiony tem, co usłyszał. Paulin Broquet cofnął się o krok od biurka. Nastąpiła długa chwila ciężkiego milczenia. Minister przeciągnął drżącą ręką po czole. Potem otarłszy łzy, które — wbrew jego panowaniu nad sobą i siłą woli ukazały się w oczach — odsunął fotel od biurka i wstał.

— Drogi panie Broquet — łzy, które pan widział w moich oczach, a których się nie wstydzę, zmąty resztę przywiązania dla nieszczęśliwego, u którego znalazł pan te dokumenty. Od tej chwili mówię z panem minister. Dziękuję panu najgoręcej i najserdeczniej za pańską pracę!

Schował chustkę do kieszeni i opierając się obu rękami o biurko — rzekł suchym, twardym głosem:

— Teraz działajmy, panie Broquet.

Detektyw zachował jeszcze przez chwilę wyraz twarzy chłodny i nieprzenikniony. Ale widząc, z jakim niepokojem minister patrzy na niego, z jaką niecierpliwością czeka na wyjaśnienia — zbliżył się do biurka i rzekł:

— Zaznaczam, panie ministrze, że nie oskarżam nikogo, że nawet znalazłszy w kieszeni pana Simoneta te dokumenty, nie powiedziałem, że uważam go za winnego. Muszę tu dać pewne wyjaśnienie.

— Słucham pana — rzekł minister — i mam nadzieję, że mnie pan uspokoi i zdejmie mi z serca ten ciężar. Niech pan mówi.

— Panie ministrze, pan Simonet jest młodym człowiekiem, posiadającym wszystkie zalety swego wieku i wszystkie słabe strony. Jest młody, przystojny, elegancki, i zajmuje wysokie stanowisko. Otaczają go więc piękne kobiety, a między niemi i takie, które mają zawsze coś do roboty w biurach ministerów. Potrafił one uśmiechem, spojrzeniem, uściskiem dłoni, pocałunkiem wreszcie uzyskać wiele od człowieka stałego charakteru. Czy Simonet oparł się takim pokusom, czy też ustąpił? Oto problem, który musimy teraz rozwiązać.

Po chwili milczenia detektyw ciągnął:

— Faktem jest, iż młody Raynard sprzedawał tajemnice ministerstwa. Przy jego pomocy bandyci mogli dotrzeć do gabinetu p. Simoneta, otworzyć szafę z dokumentami i gospodarować w niej po swojemu. Na szczęście Raynard jest pod kluczem. Przypuszczam więc, panie ministrze, że uderzenie sztyletu, jakie otrzymał Simonet, jest odpowiedzią bandytów na aresztowanie Raynarda.

— Tak pan sądzi?

— Mam nadzieję, że potrafię tego dowieść. W rzeczywistości bowiem, w jakim celu miano ranić lub zabijać Simoneta? I kto to uczynił?

Nie markiz don Martolo, który zupełnie nie był przeciwny miłostkom Simoneta z hrabiną d'Ortega. Nie baron de la Ronconière, tembardziej. Jestto człowiek honoru, chociaż śmieszny. Poza tem baron, o ile wiem zna pchnięcie niezawodne, którym potrafi zabić w pojedynku każdego przeciwnika. Wy-